

Psychiatria i scjentologia a „antypsychiatria”

10 sierpnia 2017

Jak to jest, że każdy, kto wystąpi przeciwko metodom, stosowanym obecnie w psychiatrii, zaraz okrzyknięty zostaje scjentologiem, czyli sekciarzem, od którego trzeba się bezwarunkowo odwrócić i nie słuchać tego, co stara się zakomunikować?

Odkąd życie w bezpośredni sposób skonfrontowało mnie z psychiatryczno-państwowym przymusem, w czego efekcie pojawiły się moje pierwsze publikacje na ten temat, wciąż gdzieś dowiaduję się, że jestem anty-psychiatrą i... scjentologiem. Scjentologia to wiadomo: sekta... A „antypsychiatria”? To też niby wiadomo: sekta, która „tylko krytykuje psychiatrię i nie daje żadnej alternatywy w zamian...” Ale czy zastanawiamy się nad prawdziwością słów, tak wypowiedzianych wobec przeciwników psychiatrycznej przemocy?

Mówienie, że tzw. antypsychiatria „nie podaje rozwiązań” może wywodzić się tylko z tego, że nie zapoznajemy się z jej historią i bezmyślnie powtarzamy pomówienia, które w ramach swojej propagandy mocno w nas zakorzeniła propaganda psychiatryczna. Dzisiaj zupełną „normą” jest, że kiedy ktoś mówi „antypsychiatria” ma na myśli „scjentologia”! A przecież to kolejna, powtarzana bezmyślnie bzdura, wszczepiona nam przez psychiatrię.

Protestów z lat 60. i 70. minionego stulecia, w których masowo pojawiła się krytyka psychiatrii oraz stosowanych w niej metodach, nikt specjalnie już nie pamięta. Rozdział antypsychiatrii, bo tak nazywamy ówczesny ruch sprzeciwu, uznawany jest dzisiaj w opinii publicznej jako krótki, nic nie wnoszący poryw jakichś „nieodpowiedzialnych jednostek”, który nie tylko, że nie przedstawiał żadnych alternatyw, ale oprócz

tego „utarło się mówić” (dzięki wciąż funkcjonującej manipulacji propagandy psychiatrycznej), że byli to (i są) niebezpieczni sekciarze. Społeczeństwo przytakuje, nie zastanawiając się zbytnio nad tematem, bo z dziada pradziada wiadomo, że Pan Doktor to mądry człowiek i wie, co mówi. Rzadko kto zagląda więc do prac tzw. anty-psychiatrów i nie zdaje sobie sprawy, że to właśnie dzięki tym protestom, i dzięki alternatywom przedstawionym przez ówczesnych krytyków psychiatrii, w wielu krajach zachodnich przeprowadzono w połowie lat 1970 „reformy”. Głośnie wtedy na cały świat bębny antypsychiatrii ucichły nieco pod wpływem tych „przemian”, szybko jednak okazało się, że powołana wtedy do życia „psychiatria socjalna/społeczna” – choć miała odbiegać od psychiatrycznych metod (przymusu i faszeringowania substancjami psychoaktywnymi) i stanowić dla osób dotkniętych wsparcie socjalne poza murami klinik – okazała się po wprowadzeniu przez psychiatrię być jedynie profanacją proponowanych przez tzw. anty-psychiatrów zmian, a ideę wykorzystano do poza klinicznej i już ciągłej kontroli, czy „pacjent” regularnie przyjmuje swój „chemiczny knebel” również wtedy, kiedy nie można mu tegoż podawać w zamknięciu i – w razie jego niezgody – pod przymusem.

Trzeba sobie przy tym jeszcze uzmysłowić (= również poprzez głębsze zainteresowanie się przekazami historycznymi), że substancje te są nowoczesną formą wcześniejszych stosów inkwizycyjnych, po których wycofaniu właśnie powstała psychiatria. Na początku „oferowała” ona co prawda również tylko tortury fizyczne, ale że oficjalnie miała już być „nauką”, a nie inkwizycyjnym mordowaniem, słowo „czarownica/mag” zamieniono na diagnozę „Histeria” i już można było dalej stosować inkwizycyjne metody na ludziach, którzy próbowali coś opowiedzieć o świecie pozazmysłowym, do którego religie uzurpowały sobie mieć wyłączność i nie tolerują innowierców od początku swojego istnienia, krwawo ich zwalczając. Trzeba tu zwrócić uwagę, do jakich rozmiarów się to dzisiaj rozrosło! W międzyczasie nikt nawet nie myśli o

inkwizycji (dlatego powoli do łask znowu powracają średniowieczne egzorcyzmy, określane jako „postęp”), a psychiatria jest powszechnie uznawana za naukę.

Ale to oczywiście temat rzeka, więc wymaga osobnego omówienia. Kontynuacja na pewno wyraźnie zauważalna jest w dwóch kwestiach:

1. Wtedy – torturowano, aby przyznano się do „czarów-marów”. Dzisiaj – torturuje się, aby delikwent przyznał się do „choroby psychicznej”.

Pomijam oczywiście kolejny, warty szerszego opisu fakt, że oprócz kościelnych więźniów mamy jeszcze „dokooptowanych” wielokrotnie większą ilość pospolitych bandytów, kryminalistów, zwyrodnialców typu pedofile, bo oprócz „Histerii” wprowadzono setki kolejnych „diagnoz”, żeby wyraźnie przeszkodzić społeczeństwu w rozpoznaniu prawdziwych intencji tej typowo represyjnej instytucji.

2. Wtedy – palono na stosie, żeby jak najszybciej się pozbyć innowierców. Dzisiaj – katuje się ich chemicznie przez całe życie, które na skutek aplikowanych substancji kończy się wcześniej o 25 lat, niż u przeciętnego rówieśnika (Aderhold, 2009).

Warto zwrócić uwagę, że tak, jak wtedy tak i teraz chodzi o władzę i wymyśloną przez nią „wartość”: pieniądź. Instytucja-Inkwizycja, skoro już nie może palić na stosach, więzić i tak musi, bo przecież strzeże „własnej tajemnicy”, więc obwieściła masę kolejnych „diagnoz” po „histerii” i łapie kogo się da, jak tylko pojawia się podejrzenie o „innowierstwo” (brak chęci współpracy, dopasowania się do tego, co ustalono „normą” czy „wartością”, a co nie). Oczywiście dzisiaj mówi się o „chorobie psychicznej”, o „nauce” i o „leczeniu”, zamyka jednak tych ludzi we własnej sieci i jeszcze każe nam się sobie słono płacić za „usługi medyczne” twierdząc, że mamy do czynienia z „lekarzami medycyny” i „leczeniem”, a pieniądze

pobierają za „chronienie nas” przed „niebezpiecznymi psychopatami”. To już w samej konstrukcji jest identyczne z tzw. mafijnym haraczem, choć oczywiście o bardziej wyrafinowanym sposobie realizacji!

Wracając jednak do „medycznego rozwoju” tej ludobójczej instytucji nie da się nie zauważyć, że zaraz po ich „unaukowieniu” i „diagnozach” pojawiły się „metody leczenia”. Po torturach fizycznych „naukowo” wprowadzono lobotomię (czyli brutalne, fizyczne uszkodzanie mózgu), za którą nadano sobie nawet Nagrodę Nobla, pojawiły się katorgi „szoków insulinowych”, „elektrowstrząsów” (nota bene: wymyślonych przez „naukowca psychiatrę” podczas odwiedzin w rzeźni, gdzie widząc elektryczne „szokowanie” świń przed ubojem pomyślał sobie: „...Uaaaauuu... Jaki piękny „sposób” na... Schizofreników!” ...I to nie jest żart... W końcu, ponieważ każda z tych „metod” prędzej czy później demaskowana zostawała jako narzędzie śmiercionośne, wprowadzono w latach 50-tych ub. stulecia neuroleptyki, czyli: chemiczny środek zastępczy do lobotomii chirurgicznej, więc żaden to postęp, a kolejny manewr manipulacyjny, niejako nowelizacja działań instytucji ze względu na kolejną wpadkę.

Kontynuacja jest więc wyraźnie zauważalna i nielogiczne jest myślenie, że w przypadku psychiatrii mamy do czynienia z „nauką”, „dziedziną medycyny”... To, że nie mówi się już dzisiaj o prymitywnym, średniowiecznym wymuszaniu na zatrzymanych przyznania się do „czarów-marów”, a „naukowo” określa się to zawarciem tzw. compliance (przyznaniu się do „choroby psychicznej” i wyrażeniu „zgody” na wymyślone przez instytucję „leczenie”) naprawdę nie znaczy, że jest inaczej, niż od wieków. Metody są jedynie inne, ale cel – ten sam...

Oszustwo to zauważone zostało co prawda przez antypsychiatrię, tą wtedy jednak błyskawicznie okrzyknięto „sektą” i (o zgrozo!) to właśnie ją zaczęto pod wpływem takiej propagandy postrzegać jako „oszustwo”. Społeczeństwa znowu zaczęły wychwalać Pana Doktora i jego kolejną „nowoczesną metodę”, a

za tak skonstruowanym parawanem uzdrawiania przetrzymywanych jest coraz więcej ludzi na całym świecie. Psychiatria socjalna, w wypadku której mówi się o ośrodkach otwartych, jest i w tej kwestii szczególną farsą, gdyż przebywający w niej „klienci” (bo tak będzie się ich tutaj nazywać!), muszą tam przebywać również na mocy nakazu z tą jedynie różnicą, że od godziny X do godziny Y. Ojcowie ruchu anty-psychiatrycznego i alternatywnych rozwiązań, domagający się wtedy radykalnych zmian w obchodzeniu się z osobami dotkniętymi, są dzisiaj w ramach dyskredytacji potocznie nazywani scjentologami i nic tu nie pomagają ich zaprzeczenia, że z kościołem tym (bo to jest dzisiaj już oficjalnie kościół, nie sekta) nie mają nic wspólnego.

Prof. Thomas Szasz, znakomity amerykański psychiatra węgierskiego pochodzenia, dziś 90-letnia ikona ruchu antypsychiatrii, zapytany o nią oraz o członkostwo w kościele scjentologów i organizacji CCHR (Citizens Commission for Human Rights) powiedział w wywiadzie, udzielonym pani M. Kestler (Lichtblick99, 2003):

„Energicznie bronię się przeciwko nazewnictwu antypsychiatria. Moja krytyka jest skierowana wyłącznie przeciwko przymusowi psychiatrycznemu. Taka samo-stygmatyzująca się etykieta „antypsychiatria” była wspólnym produktem Ronalda D. Lainga i Davida Coopera. Ale przecież byłoby totalnym nonsensem nazywanie medyka, który sprzeciwia się przymusowi leczenia w dziedzinie dermatologii, „anty-dermatologiem”, albo krytyka onkologii „anty-onkologiem”, czy też krytycznego okulistę „anty-okulistą”. Tak też nonsensem jest nazywanie krytyka przymusu psychiatrycznego „anty-psychiatrą”. Takie określenie pokazuje jedynie, że psychiatria definiuje się tylko i wyłącznie poprzez przymus, a nie zamiar leczenia. (...)”

Nie jestem scjentologiem i nigdy nim nie byłem. Scjentologia to religia, a ja określam się i jestem przekonany ateistą. Współtworzyłem CCHR (Citizens Commission for Human Rights) z tych samych motywów, dla jakich wiele lat wcześniej, razem z

socjologiem Ervinem Goofmannem i profesorem prawa Georgem Alexandrem, powołałem do życia AAAIMH (American Association for the Abolition of Involuntary Mental Hospitalization) . CCHR sama zwróciła się do mnie, gdyż chciała przyłączyć się do mojej walki przeciwko instytucji psychiatrii, a nie odwrotnie. To wsparcie chętnie przyjąłem, bo: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Ale to oczywiście tylko w kontekście zwalczania mojego wroga, a nie w podejmowaniu innych celów. Ameryka i Wielka Brytania, Roosevelt i Churchill walczyli po jednej stronie przeciwko ZSRR i Stalinowi. Ale ani my, ani Brytyjczycy nie zostali stalinistami. Poświęcam moją pracę od ponad pół wieku sprzeciwowi przeciwko psychiatrycznemu niewolnictwu, czyli zniesieniu sankcjonowanego przez państwo więzienia osób na bazie dominacji ochrony medycznej – praktyki, która w ostatnich dziesięcioleciach urosła do miana państwowego sankcjonowania przymusowego podawania narkotyków niewinnym ludziom. W walce przeciwko terapeutycznemu państwu bardzo chętnie przyjąłbym wsparcie ze strony Żydów, katolików i moslemów pomimo tego, że tak samo odrzucam ich pryncypia i praktyki, jak odrzucam te, stosowane przez scjentologów.”

I tak od dziesięcioleci mamy z jednej strony do czynienia z całą armią ludzi, sprzeciwiających się przymusowi psychiatrycznemu i podważających psychiatryczne kłamstwa, a z drugiej z propagandą pro-psychiatryczną, która swoim monopolem informacyjnym szybko ich w świadomości społecznej deformuje, podpina pod scjentologów, czyli okrzykuje sekciarzami, pozbawiając tym samym autorytetu. Mało kto zda sobie przy tej okazji sprawę z tego, że w ten sposób nie tylko próbuje się eliminować przeciwników, ale tak konstytuowany prestiż zawodu i wciąż utrzymywana wiara w społeczeństwach, że w przypadku psychiatrii mamy do czynienia z dziedziną medycyny, pozwala na niezauważalny wręcz powrót tych starych „metod leczenia”, które zostały już kiedyś zdemaskowane jako czyste narzędzie tortur. Do „łask” powracają elektrowstrząsy, o których zaczyna się coraz głośniejsz mówić jako o... „czasami jedynym sposobie na uratowanie życia”. Dla zatarcia śladów z przeszłości zmieniono

oczywiście nazwę na „terapia elektro-konwulsyjna” i dalej nikt nie zastanawia się, że jak to? W przypadku więźniów-terrorystów, torturowanych np. w Quantánamo elektrowstrząsy są torturą, wymuszającą zeznania, a w przypadku „pacjentów psychiatrii” to już nie tortury, a „terapia”? Czyżby aż tak niezauważalna dla mas stała się zbieżność, że „uratowanie życia” w przypadku pomówionych o „chorobę psychiczną” oznacza konkretnie wymuszenie tzw. „compliance”, czyli 2-członowej zgody pacjenta: co do diagnozy psychiatrycznej (przyznanie się do choroby) i co do metod leczenia, jakie proponuje „lekarz prowadzący”? Jediną różnicą pomiędzy elektroszokiem z tamtych lat i stosowanym obecnie jest po pierwsze nazwa, a po drugie to, iż stosuje się go dzisiaj pod narkozą przy jednoczesnym użyciu środków rozluźniających mięśnie, które mają zniwelować „rzucanie” się ciała, przypominające napady padaczki. Sama „procedura” jest wciąż taka sama, a i dzisiaj każdy, kto będzie próbował protestować przeciwko stosowaniu tego rodzaju metod „leczenia”, natychmiast jest okrzyknięty „anty-psychiatrą”, czyli inaczej mówiąc „scjentologiem”. Bo – dziwnie rzecz biorąc – niepostrzeżenie jakoś tak się nam utrwaliło, że ludzie, występujący przeciwko psychiatrii, to... „na pewno scjentolodzy”. Czyli? Uwaga! Sekta! Uwaga! Zagrożenie! Uwaga! Nie należy ich słuchać! Itd...

Zanim więc ślepo opowiemy się po stronie psychiatrii, odpychając wszystko, co anty-psychiatryczne, zadajmy sobie pytanie: jak długo jeszcze będziemy pozwalać na kontynuację ludobójstwa, prowadzonego wtedy pod szyldem inkwizycji, a dzisiaj pod szyldem pseudonauki?

Autor: Andrzej Skulski

Źródło: [iThink](#)